

Jacek Kowalski: I Rzeczpospolita była wspólnotą dworów

Poza architekturą typowo dworkową, z jej charakterystycznym wystrojem: kilimem, obrazem Matki Boskiej i dwiema szablami pod nim, nie mamy żadnego polskiego wzoru mieszkania, innego stylu, do którego można byłoby się odwoływać, i który nosiłby znamiona właściwe elicie intelektualnej – mówi Jacek Kowalski w rozmowie z Adamem Talarowskim dla Teologii Politycznej Co Tydzień nr 106: „Polskie bóle fantomowe”

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Czy możemy zacząć od uporządkowania pojęć: czym był dwór, dworek i jego mieszkańcy w strukturze I Rzeczypospolitej?

Jacek Kowalski: Dwór i dworek są to słowa, które w polskiej tradycji silnie się zapisały, przy czym słowo zdrobniałe, „dworek”, stało się popularne w XIX wieku, kiedy „dworek” został swoistym pieścioszkiem naszej literatury i tradycji. To, co kiedyś nazywano przede wszystkim dworem, stało się „dworkiem”, budynkiem o określonej fizjonomii, utrwalonej w ikonografii, przywoływanej do dziś i w obrazach, i w budownictwie. Słowo „dwór” miało znaczenie szersze, obejmujące wszystkie zabudowania – ale i tak samo jak słowo „dom”, które oznaczać może Rodzinę, Ród, a nawet wszystkich, którzy w nim mieszkają. Mówiąc o najszerszym znaczeniu słowa dwór warto przypomnieć książkę Andrzeja Zajączkowskiego, który pisał o

strukturze Rzeczypospolitej jako strukturze sąsiedztw, dworów, które były niejako niewielkimi państwami, w których szlachcic był samowładnym panem, sąsiadując z kolejnym szlachcicem. Ta wielka zbiorowość tworzyła Rzeczpospolitą. To rzecz jasna jedynie system idealny, który w Polsce został przyjęty za wizerunek tego, co jest istotą Rzeczypospolitej. „Wspólnota sąsiedztw”, tak zostało to potem sformułowane. Szlachcie się wydawało – i tak też głosiła – że jest właściwym czynnikiem rządzącym w Rzeczypospolitej, chociaż byli też przecież wielcy panowie, posiadacze zamków, pałaców i naprawdę ogromnych dworów, był król, były miasta, choć nie tak bardzo znaczące jak gdzie indziej, byli też tacy, którzy mieszkali poza dworami, a którzy wbrew pozorom byli zaliczani do narodu, ale nie jako obywatele w znaczeniu politycznym.

Również na poziomie kultury, szczególnie literatury, możemy chyba mówić o niebagatelnej roli dworku jako punktu odniesienia, zarówno dla jej twórców, jak i odbiorców?

Gdy spojrzymy na życiorysy pisarzy epoki staropolskiej, dostrzegamy pośród nich oczywiście mieszczan i magnatów, ale najwięcej twórców wywiodło swój żywot właśnie z owych mniejszych siedzib szlacheckich, o których mówimy. Zresztą nie tylko w staropolszczyźnie, ale też wtedy, gdy dworek przeszedł już do literackiej legendy: bo aż do międzywojnia potężna część świata inteligenckiego wywodziła się właśnie stamtąd, a reszta, jeśli nie wywodziła się bezpośrednio z krwi, to jednak przeważnie przyznawała się do tego dziedzictwa, które zostało nam legowane w Panu Tadeuszu. Dom w postaci Soplicowa jest centrum polszczyzny i stanowi archetyp domu zakorzeniony w polskiej literaturze. W międzyczasie mieliśmy inne domy, ludzie przenieśli się do kamienic czynszowych, ale mit dworu, mit pochodzenia wciąż

proceedził do tego domu stojącego na wsi, który był ośrodkiem władzy samodzielnego pana. Oczywiście, że jest to coś, co odsyła nas także do antyku i do literatury starożytnej. Choć nie mamy tam bezpośredniego odpowiednika takiego dworu, z jakim mieliśmy do czynienia w Rzeczypospolitej, to w literaturze rzymskiej znaleziono przecież ideał obywatela, żołnierza i rolnika zarazem, a epod Horacego *Beatus ille* (zaczynający się od tych słów) stał się jednym z najczęściej parafrazowanych wierszy w Rzeczypospolitej – zwykle każdy wybitniejszy poeta (i mniej wybitny też) miał na koncie nawiązania do motywów z tego wiersza. A kiedy w końcu narodziła się literatura nowoczesna, jednym z jej bohaterów znów został dworek: jako miejsce najbardziej naturalne dla polskich bohaterów literackich. Mamy też wreszcie dwór opuszczony, dwór porzucony; synonim tego, co się traci bezpowrotnie, czego już nie ma, ale co będzie trwało w pamięci i świadomości jako bolesna rana, w literaturze i piśmiennictwie, więc we wspomnieniach; wtedy znacząca i wymowna okazuje się właśnie „nieobecność”.

À propos związanego z literaturą antyczną ideału obywatela i rolnika: Władysław Łoziński rozpoczyna w swej książce rozdział poświęcony dworkom od przypomnienia posągu, będącego alegorią Polski, przedstawiającego kobietę z pługiem u stóp i mieczem w dłoni, co komentuje: „sielskość i rycerskość to główne cechy życia szlacheckiego w przeszłości”. Na czym polegał ten związek?

Odkąd tylko szlachta w Europie istnieje, tworzy ją stan rycerski. I wszędzie elementem bytowania szlachty, co mówię, źródłem i usprawiedliwieniem jej istnienia było: służyć bronią władcy i ojczyźnie. W Polsce szlachta szczyła się ponadto największym wpływem na

rzędy. Na prawa. Ustanawiała je dla siebie i dla króla, który nie mógł stanąć ponad prawem. To wszystko wydawało się naturalne – szlachcic uważał, że prawo do ziemi posiadał za zasługi przodków, którzy przelewali krew we wspólnej sprawie. I cały czas to prawo łączyło się – teoretycznie i praktycznie – z obowiązkiem obrony ojczyzny. To, czy szlachcic zawsze ten obowiązek wypełniał, to inna sprawa, ale przecież atrybutem jego stanu była szabla. Manifestacyjnie stawiał się na popis pospolitego ruszenia. „Rycerski” źródłosłów nazwy stanu łatwo uchwycić nie tylko w języku polskim, także w innych. Jeszcze w XIX wieku dobra „rycerskie” – to własność ziemska szlachty.

Ta własność miała, rzecz jasna, rozmaity rozmiar, bo i szlachta szlachcie w praktyce była nierówna. Niektórzy tylko mieli dwory, a gromady drobnej szlachty żyły po zaściankach, których obraz tak fascynująco przekazał Mickiewicz. Jeszcze przed wojną niektórzy szlachecy gospodarze żyli jak chłopci, szczycąc się jednak herbem i prawem do noszenia broni oraz obowiązkiem obrony Ojczyzny. Z biegiem czasu problemem stała się też znaczna liczebność szlachty pozbawionej własnej ziemi. Zawsze było jej sporo, ale w wieku XVIII zaistniała już wielka spora dysproporcja między najbogatszymi, średnimi a tymi, którzy nie mieli majątku. Mieli do wyboru albo angażować się u wielkich panów, albo pójść do miasta, z czym teoretycznie wiązała się utrata szlachectwa. I wiemy, że reformy króla Stasia prowadziły do tego, żeby wielkie rzesze szlachty ubogiej pozbawić praw politycznych, ale za to umożliwić karierę miejską bez utraty szlachectwa jako takiego. Tak pojawiło się jedno z licznych źródeł przyszłej „inteligencji”.

W czym jeszcze upatrywać można specyfiki życia w szlacheckim dworku?

To, co widać w Panu Tadeuszu i co potwierdzają liczne relacje – dom szlachecki był domem konwiwialnym, który żył towarzysko z innymi dworami, wielkimi i małymi. Również panowie mieszkający w pałacach, wielcy tamtego świata, jak Czartoryscy i inne dumne rody, zawsze jednak przynajmniej na poziomie teoretycznym czynili się braćmi tych mniejszych. A w praktyce, i w przeciwieństwie do siedzib wielkich arystokratów na Zachodzie, ich dom stawał się miejscem spotkań ludzi – jak postrzegali to obserwatorzy z zewnątrz, obcokrajowcy – różnych stanów, którzy sami uważali się za reprezentantów jednego stanu: szlacheckiego. Bo jedni byli chudopachołkami, inni bogaczami, inni ludźmi średniej i małej majątkości, średniakami. Łączył ich sposób wspólnego życia, opisany pięknie w Panu Tadeuszu i licznych pamiętnikach. Ta wielka gromada ludzi kręcących się wokół dworu i stołu pańskiego miała w tym swój interes jako „klientela”. Wreszcie ze względu na niską jakość karczem, gdzie panowały bród, smród, wszy i pluskwy, wielcy panowie chętniej korzystali z gościnności swoich „panów braci”, nawet znacznie niższego stanu, mając u nich zagwarantowany pewien stopień luksusu. Widzimy to też w traktatach, które opisują wzorcową budowę dworu: musi być pokój gościnny, bo nawet nieznanemu szlachcic nie może „stać sieniach”, trzeba go przyjąć. A potem, w wieku XIX, czytamy u Wincentego Pola: Ledwo człek by czasem wierzył, Dom niewielki – wtem gość wchodzi: Ot i domek się rozszerzył, I wnet miejsce się gdzieś rodzi. Domek taki jednak przeważnie rzeczywiście był ciasny. Zatem, choć nie mieszkało się u nas tak jak na południu Europy, bo było zimniej, choć brakowało pomieszczeń, nie brakowało gościnności. W pamiętnikach z XVIII wieku czytamy, że gości często kładziono pokotem na ziemi, a tylko nieliczni mogli spocząć na łożu; część, jak czytamy też w Panu Tadeuszu odnośnie „młodzieży” (nawet młodego panicza, bratanka gospodarza!), szła w razie czego do stodoły na siano. Także panie

bywały kładzione pokotem na ziemi, co bywało przyczyną nieobyczajnych sytuacji, a sprawcy tychże – jak żartuje sobie Kitowicz – zrzucali winę za dziwne hałasy na duchy, które miały dyszeć i stukać...

Czy wyobrażenie o życiu z pokolenia na pokolenie w dworze przodków, rodzeniu, wychowywaniu się i umieraniu w tym samym domu „ojców i dziadów” było bliskie rzeczywistości, czy przynależy raczej do sfery mitów i niedoścignionych ideałów?

Są do dziś takie dwory, które trzymają się jednej rodziny, ale obrót ziemią i dworami, częste zmiany właścicieli – rzecz to w dawnej Polsce powszechna. Wystarczy poczytać pana Paska, który pisze obszernie o dworach, do których się wprowadzał i które zmieniał w związku ze zmianami dzierżawionych przez siebie majątków. Niewielu zatem mogło żyć we dworze pradziadowskim – zresztą pomyślmy: jeśli rodzice mieli kilku synów, to tylko jeden z nich mógł zamieszkać na rodzinnej niwie. Jednakże dwór „pradziadowski” trwał w świadomości Polaków na poziomie mitu jako ów rodzinny dom, do którego jest się przywiązany i którego się nie opuszcza. To splotło się później – w czasach zaborów - z walką o ziemię już nie tylko szlachty, ale i mniejszych właścicieli, przede wszystkim chłopów. Ileż się wtedy mówiło, jak ważna jest własna ziemia, której nie należy wyprzedawać, to część narodowej spuścizny. Pewnie, że dom pradziadowski, w którym składano skarb wielowiekowych cnót rodu, to nie tylko ideał polski. Tak bywało niemal wszędzie i od zawsze. I to się zawsze niesamowicie pięknie „sprzedaje” – w dobrym tego słowa znaczeniu. Romantycy przekazali nam tę tradycję: widzimy ją w Straszonym dworze Moniuszki, gdzie Stefan i Zbigniew śpiewają o powrocie „w praojcowskich progi ścian”... A przecież sam Moniuszko miał tylko dwór ojcowski, niewiele starszy od siebie samego... i szybko się go

pozbył... Dla każdego zatem ów mit prowadzi przynajmniej do dzieciństwa spędzonego na łonie przyrody i rodziny – najprościej rzecz ujmując.

Z dworem i tradycją ziemiańską wiąże się szereg piosenek i pieśni. Ci, którzy nie urodzili się we dworach i niekoniecznie pochodzili ze szlacheckich rodzin, również chętnie je śpiewali, nie czując chyba wcale sprzeczności między swoim pochodzeniem a tym ulubionym repertuarem. Bo w końcu nastąpiło przedziwne uwłaszczenie całego narodu – na szlacheckiej tradycji, i uznanie jej na centrum polszczyzny, oś swojskości. Co tu dużo mówić – w ogóle sztuka „ludowa” to nic innego niż powtarzanie wzorów „wysokich” przez amatorów wywodzących się ze społecznych nizin. Otóż również i obyczaj chłopski przechował długo, długo wiele z tego to, co wcześniej było obyczajem szlacheckim. Tak: kultura schodzi z wyżyn w niziny. Dobre zwyczaje, jak całowanie pań w rękę, stosunek do domu i do ziemi, często trwają nawet dłużej tam, gdzie zstąpiły ze szczytów – podczas gdy wiatr historii obalił szczyty i niby zrównał z ziemią...

Chciałbym porozmawiać jeszcze o horyzontach intelektualnych i kulturowych mieszkańców dworów, o których rozmawiamy, a którzy nierzadko zajmowali się także – przywołam tytuł zbioru Wespazjana Kochowskiego – „niepróżnującym próżnowaniem”, twórczością literacką. Często spogląda się jednak na tę kwestię w optyce obarczonej dużą dozą krytycyzmu...

Zawsze jest tak, że kiedy myślimy o dawnych czasach, to postrzegamy je przez pryzmat tego, co sami przeżywamy czytając lektury: a) dotyczące tych czasów i b) pochodzące z tamtych czasów. Jedne się

samemu interpretuje, inne przyjmuje na podstawie interpretacji narzuconych przez autorytety. I tak musi być, ale przecież żaden autorytet nie jest nieomylny. Istnieje zatem szereg mitów na temat dawnej Rzeczypospolitej, które bywają bardzo krzywdzące. Także odnośnie do dworu i horyzontów intelektualnych szlachty. Prawdą jest, że siedzenie wyłącznie na prowincji nie zapewnia wysokiego wykształcenia, że studia są pożądane. Tu pewien paradoks: średnie wykształcenie XVI wieku było kiepskie, za to drobna część szlachty kształciła się za granicą, we Włoszech, w Niemczech. Mówi się, że wykształcenie szlachty podupadło w XVII wieku. Ale tu paradoks: średnia właśnie wtedy była wyższa, bo choć za granicę jeździli już tylko wielcy panowie, za to na miejscu pojawiły się świetne kolegia zakonne, dostępne w zasadzie dla każdego szlachcica. Przywołał Pan Wespazjana Kochowskiego. On właśnie nie studiował za granicą, ale dużo czytał, łacinę znał, to dzięki krakowskiemu Novodvorscianum, gimnazjum, w którym liznął trochę dobrej edukacji. Reszty uczył się już, jak to się mówi, w kulbace i z szablą w dłoni. Ale przez całe życie płynnie posługiwał się łaciną, niezbyt klasycznie, ale za to barwnie, jak własnym językiem.

Gdyby porównać go do Jana Kochanowskiego, to niewątpliwie ten drugi stał na wyższym poziomie intelektualnym, owej elity renesansowej, XVI-wiecznej. Ale jest też pewna rzecz wspólna: obaj, co prawda w różnym stopniu, odebrali wykształcenie w tradycji starożytnej, obaj pełnili urzędy obywatelskie, obaj stanowili w Rzeczypospolitej autorytet. Jeśli zaś Wespazjan Kochowski to przedstawiciel średniej szlachty, jeśli jego sądy są uważane za sądy charakterystyczne dla tego stanu, to w sumie bardzo dobrze świadczy o tej średniej szlachcie (choć też trzeba pamiętać, że Kochowski część swojego żywota spędził przy dworze królewskim, gdzie grał rolę nadwornego historyka; pod wieloma względami wyrastał więc ponad swoje środowisko).

Dalej. Jako przykład nieuka bywa wskazywany Pasek. Krzysztof Koehler słusznie podkreśla, że to pokazywanie Paska jako „zakutej pały” to bzdura. Był zadufany w sobie, był warchołem, walczył w złej sprawie, ale z drugiej strony trzeba powiedzieć, że miał po jezuickim kolegium wykształcenie i zapewne dużą ogładę towarzyską. To wykształcenie pozwoliło mu napisać całkiem niezły rytmiczny wiersz, trzymający się zasad retoryki. Pozwoliło mu spełnić jak trzeba obowiązki „przystawa” przy pośle moskiewskim. Pozwoliło mu na skomponowanie mowy, oczywiście fikcyjnej, którą miał wygłosić przed senatorami w swojej obronie. I wszystko szpikował łaciną. To nie wzięło się z niczego – tu potrzebna była erudycja i jej nieustanne wykorzystywanie. A Pasek, jako towarzysz narodowego autoramentu, należał do elity – podobnej sobie. Mamy w jego pamiętnikach momenty, z którymi niekoniecznie byśmy się identyfikowali. Choćby tę wydrę, za której zabicie król Jan miał skazać na śmierć żołnierza. Dziwimy się temu, ale nie tylko w tamtym czasie takie dowcipy się podobały i podobają (dowcipy bo nie wiemy, czy Pasek opowiada prawdę – to raczej zmyślona anegdota).

Mi się w tym kontekście przypomina zawsze fragment z Paska, opisujący zdarzenie, gdy Polacy strzelali z łuków podczas widowiska teatralnego. Często pojawia się interpretacja, że oto strzelano do Francuzów dlatego, że szlachta nie zdawała sobie sprawy z istnienia takiej formy jak teatr i naprawdę wzięła aktorów za prawdziwe postaci odgrywane w sztuce. W tym konkretnym przypadku przejrzyste jest raczej, że objawiała się w ten sposób niechęć do Francuzów...

To oczywiste, że niemożliwym było, żeby nie rozumiano, że to jest teatr i że strzelano do aktorów, zwłaszcza, że potem mamy scenę, jak rozpierzchnięci żołnierze są ścigani przez patrol dla pojmania tego, który zabił Francuza. To miał być ulubieniec królowej, której i którego powszechnie nie lubiano, by nie rzec: nienawidzono. W dialogu pomiędzy Paskiem a żołnierzem, który ściga zabójcę, widać, że on bardzo dobrze wiedział o co chodzi. To animozje polityczne miały być przyczyną śmierci nieszczęsnego Francuza. Nie zaś kwestia jakiegoś niedouczenia.

Z miłym sercu wyobrażeniem idylli dworskowej blisko związana jest też biała legenda kresowej Arkadii. Z drugiej strony coraz częściej pojawiają się interpretacje kwestionujące, rzucające na nią cień, wręcz kreujące ciemny obraz przeszłości na Kresach, także przy wykorzystaniu aparatu właściwego studiom postkolonialnym. Jak się Pan na to zapatruje?

Kresy to nie była kolonia. Nie można ich rozpatrywać dosłownie w ten sposób. Kultura polska pojawiła się tam – i nie tylko tam – współistniejąc z innymi kulturami, nad którymi często dominowała lub z którymi współistniała. Z kulturą niemiecką na przykład – w Prusach Królewskich. Podobnie było na Kresach, w odniesieniu do innych kultur słowiańskich. Ale pamiętajmy, że bardzo długo o tych obcojęzycznych chłopach i mieszczanach myślano jako o członkach jednego narodu (tak to na przykład określała Konstytucja 3 maja). Mowa o narodzie jako wspólnocie języka, a nie tylko szlachcie jako „narodzie” politycznym). Jeszcze w przekonaniu romantyków który mówił po białorusku, był miejscowym „Rusinem”, ale jego rodakiem był Polak mówiący po polsku, nie Rosjanin. To uległo szybkim zmianom mniej

więcej od połowy XIX wieku. Nieco inaczej sprawa wyglądała na Ukrainie, gdzie silny żywioł kozacki sprzeciwiał się polskiemu panowaniu. Ale i tu fascynacja kulturą ludu ukraińskiego była wśród romantyków wielka – i brali ją za część narodowego dziedzictwa. Przy całej świadomości, że kresowe stosunki to nie arkadia. Wystarczy spojrzeć na polską literaturę romantyczną począwszy od „Zamku kaniowskiego” do „Snu srebrnego Salomei” i „Mohorta”, a będziemy mieli zarówno obraz krwawego panowania polskiego, jak i krwawej kozackiej zemsty. Tak samo u Sienkiewicza. Przy tym wszystkim Kresy – zaznaczam, że słowo to bardzo niejednoznaczne, nie posługuję się nim teraz precyzyjnie, tylko na bardzo dużym poziomie ogólności – że Kresy stały się matecznikiem polskiej kultury. Bez nich kultura polska niemal nie istnieje. I mają także swoją idylliczną stronę. Ważną, wielką. i będą w niej trwać ze wszystkim zadrami, które w nich tkwią. Przypisywanie Kresom funkcji kolonii jest z gruntu fałszywe. Kiedy się w tym myśleniu pojawia Ukrainiec czy Białorusin jako „murzyn”, jako „niewolnik”, no, to jakiś anachronizm! To nie jest tak, że Polacy zapanowali tam w wyniku jakiegoś najazdu czy podboju. I jeśli w Polsce panowało „niewolnictwo”, to co panowało w Rosji? Czy wieś rosyjska też była „kolonią”, tym razem rosyjską, w Rosji? Są zresztą w Europie kraje o podobnej specyfice, i nie jest ich mało! Irlandia, która została krwawo najechana i zdobyta przez Anglików. Prowincje Francji i Hiszpanii, w których mówiło się i mówi innymi językami: katalońskim, baskijskim, bretońskim. To są podobne zjawiska, tylko w innej skali. I nie ma Francji bez Bretanii, która bardzo chciała być osobno. Ale jeszcze bardziej nie ma Polski bez spuścizny Kresów, wrośniętej w samo serce naszej kultury. Te nasze polskie ziemie nie dały się po prostu odciąć linią Curzona i pozostawić tak, jak Francja pozostała Algierię... co się do dziś na Francji mści.

Na jakim fundamencie opierają się tego rodzaju krytyczne głosy i opinie? Czy tkwi w nich szerszy projekt myślenia o polskości?

Myślę, że to wszystko: dyskusje o Kresach, o pochodzeniu Polaków, o tradycji Polaków... to należy do wielkiej fali prób wiodących do stworzenia „nowego człowieka”. Jak w przypadku ideologii gender. W tym celu trzeba nas sprowadzić do poziomu „zero” czyli pozbyć się przeszłości, odciąć ją, wymazać. Zastąpić jakąś „narracją”. Więc będziemy, na przykład, wymyślali rodowód chłopski. Ja sam mam rodowód w połowie chłopski, a właściwie małomiasteczkowy – i w połowie drobnoszlachecki. Mój dziadek mawiał niekiedy, że jest chłopem, ale to był *civis agricola*, właściciel gospodarskiego domu w miasteczku i ziemi za miastem, którą uprawiał. Taka jest tradycja mojej rodziny, do której się przyznaję. A mimo to widzę, jak tradycja dworu, podziw dla niej, były konsekwentnie przyjmowane – także przez mojego dziadka. Nie był konserwatystą w swoich przedwojennych poglądach politycznych, ale to nie wpływało na to, jak oceniał rolę dworu i szlachty w Polsce. Dwór to przecież jako „ikona” polskiej kultury. Taką „ikoną” był też na przykład Drzymała, ale dwór to sprawa osobna.

Dziś istnieją związki ziemian. Ale mam wrażenie, że polska kultura żyje dziś poza nimi. Oni przestali być ścisłą elitą polityczną i kulturową. Istnieją i są bardzo ważną częścią naszego społeczeństwa, ale mit szlachecki się zdemokratyzował, został „zwulgaryzowany” i żyje już poza nimi. Ludzie się do tego mitu powszechnie przyznają. Ci, którzy czytali albo oglądali namiętnie *Ogniem i Mieczem*, *Potop*.... Tych chyba jeszcze jest potężna masa. Czy to się skończy? Czy nastąpi zupełnie inny etap dziejów polskiej kultury? Nic nie dzieje się samo. Szkoła,

lektury, kultura wysoka i niska – to jest pole, na którym rozstrzygają się przyszłe losy Polaków jako wspólnoty kulturowej. Na razie te próby zniszczenia staropolskiej, czyli szlacheckiej tradycji, podejmowane m.in. przez Jana Sowę, jakże wychwalane na lewicy, są z gruntu niemerytoryczne, nieumotywowane naukowo. Ale bardzo ponętne dla tych, którzy chcieliby pchnąć polską kulturę na inne tory. Takie zmiany już się zdarzały, zdarzało się nieraz, że krytycznie je oceniano – a dziś tworzą jedność z narodową spuścizną. Jednak nie mamy do czynienia z pomysłem genialnym: wynajdywanie nowego, powszechnego dziedzictwa, do którego trzeba się przyznawać nie uważam za coś dobrego. Bo przecież dziedzictwo chłopskie, wiejskie, jest i tak całkiem silnie obecne w kulturze polskiej. Ba, to ono właśnie jest nadal ostoją kultury tradycyjnej. Jeszcze. W epoce, kiedy prawdziwych dworów już nie ma.

Zmierzając do końca naszej rozmowy, chciałbym poprosić o słowo podsumowujące: Czym był, czym być może nadal jest, dwór dla polskiej kultury?

Dwór towarzyszy polskiej kulturze poprzez literaturę i poprzez rzeczywistość - strukturę społeczną, bo struktura posiadłości szlacheckich tworzyła w pewnym momencie Rzeczpospolitą, mimo istnienia magnatów i wielkich panów. Takie było przekonanie wszystkich obywateli: to ta sieć dworów konstituowała Rzeczpospolitą. To się sprawdziło w latach zaborów, kiedy dwór przechował to wszystko to, czego nie dało się przechować w strukturach państwowych.

Dwór został wówczas zaszczerpiony polskiej kulturze – a przetrwał do dziś poprzez literaturę, w której znalazł niebywale piękny wyraz. Przecież pierwszy dwór polskiej literatury to jest dom Jana Kochanowskiego: dom rodzinny, żyjący wiarą, myślą obywatelską, w który bije źródło natchnienia. Pierwszy wielki wiersz o dworze: Fraszka na dom w Czarnolesie tworzy podstawy, fundamenty całego toposu literackiego. Potem mamy dwór, który się wykluwa w postaci architektonicznej, bo za czasów Kochanowskiego te polskie dwory wyglądały jednak inaczej. W pewnym momencie, gdzieś pod koniec XVII wieku, pojawia się też nazwa dwór wskazująca szczególnie na sam dom, a niekoniecznie na całe dworskie obejście. Zjawia się też forma architektoniczna bliska naszym późniejszym, XIX - wiecznym wyobrażeniom: parterowy, rozległy budynek, położony nieobronnie (choć były i dwory obronne), rzecz jasna na wsi. W końcu wieku XVIII dwór stał się częściowo synonimem prowincjonalizmu (Krzysztof Koehler pięknie pokazał to w swojej pracy o domku szlacheckim). Ale zarazem uczyniono zeń w literaturze – główny ośrodek obywatelskiego życia. To się już zaczęło od „Pana Podstolego”, a rozwinęło w dramatycznym utworze księcia Czartoryskiego pt. Kawa, którego bohaterowie zamieszkują dwór, wreszcie rozkwitło w komedii Niemcewicza Powrót posła, gdzie ważna, polityczna debata toczy się właśnie w prowincjonalnym dworze – ośrodku obywatelskich decyzji. Wreszcie po załamaniu się naszej państwowości dwór przyjął na siebie rolę gospodarza polskiej kultury i literatury. Mit dworu zaraził pozytywnie naszą literaturę i zaszczerpił bakcyła, który, dziś głównie poprzez Pana Tadeusza, wciąż nam towarzyszy. Warto też podkreślić, że poza architekturą typowo dworkową, z jej charakterystycznym wystrojem: kilimem, obrazem Matki Boskiej i dwiema szablami pod nim, nie mamy żadnego polskiego wzoru mieszkania, innego stylu, do którego można byłoby się odwoływać, i który nosiłby znamiona

właściwe elicie intelektualnej. Bo chata chłopska nie należy do kultury elitarnej. Ale ona i dwór spotkały się i zrosły w Weselu Wyspiańskiego, w tym niesłychanym splocie tego, co jest przeszłością i przyszłością polskiego domu. I jest dworem.

Z Jackiem Kowalskim rozmawiał Adam Talarowski